

Podpowieź

Wspomnienie maturalne

Brygida Helbig, pisarka, literaturoznawczyni, profesor Polsko-Niemieckiego Instytutu Badawczego w Collegium Polonicum w Słubicach

Kwitły już kasztany, a my wciąż jeszcze nie byłyśmy przygotowane do matury. Umawiałyśmy się na naukę w domu u mojej przyjaciółki Iwony na Pomorzanach, ale piękna słoneczna pogoda kusiła na dwór, wychodziłyśmy więc na długie spacery, zbierałyśmy kwiaty, trawy, kwitnące gałęzie bzu, śpiewałyśmy, gadałyśmy bez końca. Trochę w tym było nonszalancji, trochę rebelii. Jeszcze rok, dwa lata wcześniej chodziłam do szkoły z plaketką „I hate school”, a byłam gospodarzem klasy. Nie podobał mi się jednak sposób, w jaki byliśmy traktowani przez część nauczycieli, z góry, arogancko, bez szacunku dla istoty ludzkiej gdzieś w nas jednak drzemiącej. Grzeczne uczenie się na klasówki czy do matury nie było wtedy naszym stylem życia, II Liceum Ogólnokształcące pozwalało nam zresztą na takie ekstrawagancje, może dlatego że byłyśmy mimo wszystko całkiem dobrymi uczennicami. Nie reagowało na nonszalancję naszych niekonwencjonalnych ubiorów, tańczenia i śpiewania na przerwach, odgrywania scenek, słuchania przebojów. Tolerowało nawet nasze wagary od czasu do czasu, palenie papierosów i grupowe pisanie wierszy w naróżnej knajpie „Posejdon”, będącej czymś w rodzaju speluny. Tylko w toalecie szkolnej organizowano czasem nagonki na pałacę, cała toaleta owinięta była gęstym dymem, powalającym z nóg wchodzące do niej 14-lletnie neofitki. Zasiadała tam bohema szkoły, od drugiej klasy liceum także i ja, chociaż wielką palaczką nie byłam, napawałam się raczej wszechobecną atmosferą buntu.

Zbliżała się więc matura, a my z Iwonką śpiewałyśmy i zrywałyśmy bzy na długich spacerach wzdłuż torów kolejowych na Pomorzanach. Wieczorem wracałyśmy do domu roześmiane, jadłyśmy po kromce chleba ze zgrzebną pasztetową i kiszonym ogórkiem, parzyłyśmy w szklankach liście czarnej herbaty, brzdąkałyśmy na gitarze (to bardziej ona niż ja, ja ją nagrywałam na Grundigu) i siedziałyśmy do białego rana, robiąc matematyczne wykresy i powtarzając charakterystyki epok literackich. Więcej było przy tym śmiechu niż edukacji. Trzeba było sobie jakoś rozjaśniać życie w ponurych czasach stanu

wojennego. Nawet studniówki nie mieliśmy, wszelkie tego typu zgromadzenia były zabronione.

Kilka dni przed maturą nadszedł gorący okres telefonów – wszyscy dzwonili do wszystkich z najnowszymi wieściami na temat tego, jakie będą zadania na pisemnym z matematyki i tematy wypracowań z polskiego. Najbardziej baliśmy się tych pisemnych, pięciogodzinnych, organizowanych z wielką pompą. Zamiast się więc uczyć, telefonowaliśmy z wypiekami na twarzach, ktoś miał podobno jakieś przecieki z ministerstwa, prawie nic się później z tego nie sprawdziło, ale co się nakonspirowaliśmy, to nasze.

Noc przed pierwszym egzaminem – pisemnym z polskiego – oczywiście całkowicie bezsenna. W poniedziałkowy poranek tramwaje pełne dziewiętnastolatków w odświętnych białych koszulach i bluzkach, w granatowych spodniach i spódnicach. Błdy strach. Egzamin pisemny odbywał się w sali gimnastycznej, od ściany do ściany rzędami ustawione były ławki, w każdej ławce siedział tylko jeden uczeń, wszystkie klasy pisały maturę wspólnie. Przed nami podium nauczycielskie. Atmosfera napięta do granic wytrzymałości. Tematy, tematy – który wybrać? Z tego wszystkiego wybrałam w końcu najprostszy i najbezpieczniejszy, coś o etosie pracy w epoce pozytywizmu, na maturze trochę jednak bałam się szaleństw, zresztą większość z nas tak zrobiła, polonistka miała potem do nas o to pretensje, ponieważ czego innego się po nas spodziewała. Ale polski polskim, tutaj nie miałam obaw, pisałam jak w transie, o moim ulubionym *Nad Niemnem*, o Justynie, co to poszła za Janka, żeby prowadzić pracownice, użyteczne i patriotyczne życie, a nie za pasożyta i kosmopolitę morfinistę – jak mu tam było? Dużo bardziej bałam się wtorku, czyli matematyki, obawiałam się, że orłem mogę nie być, trudno zresztą było lubić matematykę, mając tak nerwową matematycę jak nasza. Terroryzowała nas nieco, bywało, że kazała jednemu z drugim podejść do tablicy i popukać się w czoło, że przycisnęła komuś trochę mocniej głowę do tejże tablicy, że sceptycznie oglądała od góry do dołu co seksowniej ubrane dziewczyny: „taka ładna dziewczyna, a matematyki nie umie”. Bali-

śmy się jej strasznie. Krótco przed maturą dwóch chłopaków w środku lekcji wrzuciło jej z korytarza najpierw szczotkę, a potem świecę dymną do klasy, w ramach zemsty. Na szczęście dostęp do poważniejszych materiałów wybuchowych nie był wtedy zbyt powszechny. Drżeliśmy więc przed maturą. Gdy przydzielono nam ławki, przede mną znalazł się chłopak z mojej klasy, jeden z tych gorzej traktowanych przez matematycę, Tomek. Gdy się zorientował, że siedzę za nim, odetchnął z ulgą. „Zdałem maturę”, powiedział, i szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz. Dobrze mi to zrobiło, że ktoś tak we mnie wierzył. Musiałam stanąć na wysokości zadania.

Na końcu okazało się zresztą, że także i ja zdałam maturę dzięki Tomkowi. To do niego bowiem podchodziła co jakiś czas krążąca po sali matematyka i to jemu, a nie mnie, dawała co chwila drobną wskazówkę, jak rozwiązać zadanie, a ja nadstawiałam uszu. Była miła, nagle stała się człowiekiem, chciała nam pomóc. Podchodziła jednak tylko do słabszych uczniów, omijając tych lepszych wielkim łukiem. Tomkowi nie za bardzo jej rady się przydawały, mnie natomiast nadzwyczaj. Pomału posuwałam się do przodu – do rozwiązania były trzy zadania. Zaczęłam pierwsze, rozwiązałam kawałek i utknęłam, rozwiązałam część drugiego i utknęłam, rozwiązałam fragment trzeciego i utknęłam, nie mogłam się zdecydować, które jest najłatwiejsze, które rozwiązywać dalej. Nie umiałam podjąć decyzji! Tomek nerwowo kręcił i wiercił się na krześle, co jakiś czas odwracał się do mnie i syczał: „Dawaj!”. Aż w końcu wkurzył się na całego i napisał mi karteczkę: „Co ty wyprawiasz, wszystko zaczynasz, niczego nie kończysz, zrób w końcu jedno zadanie do końca, bo inaczej nie zdam matury!”. Bezcenna pomoc psychologiczna. Dzięki Tomkowi udało mi się po kolei rozwiązać dwa zadania i połowę trzeciego, co zaowocowało dobrym plus. Ściąganie było czymś normalnym i nikt nas za to nie molestował. W interesie nauczycieli leżało, abyśmy tę maturę jakoś zdali, może zresztą nie mieli do końca czystego sumienia względem nas, zbyt mocni pedagogicznie nie byli, lekcje, zwłaszcza przedmiotów ścisłych, polegały głównie na odpytywaniu uczniów i ich systematycznym dręczeniu. W każdym razie emocje maturalne były szalone. Opadły odrobinę po dwóch pisemnych egzaminach. Ustne nie były już takie straszne, nic a nic z nich nie pamiętam. Balu maturalnego z wiadomych przyczyn nie było, koleżanka urządziła prywatkę z górą ma-lutkich kanapek, na niej po raz pierwszy w życiu spróbowałam mocnego trunku, który nie bardzo mi posłużył. Ale jak być dorosłym, to ze wszystkimi konsekwencjami.

W roku 1983, po pierwszym roku studiów w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Szczecinie, wyemigrowałam do Niemiec – tam nie uznano mi

matury polskiej. Po roku pobytu posadzono mnie ponownie w szkolnej ławie College'u für Spätaussiedler (czyli dla przesiedleńców) w Geilenkirchen w pobliżu miasta Aachen i granicy holenderskiej. Tam przyszło mi zdawać maturę po raz drugi, przy czym w porównaniu z tą polską był to „Kinderspiel”. Żadnej pompy, białych bluzek, całej szkoły, sal gimnastycznych. Normalna klasówka w normalnych ubraniach w normalnym pomieszczeniu klasowym, a tematy wymyślił dla nas nasz nauczyciel niemieckiego, przesiedleńca z Rumunii. Prawie zero nerwów, i chyba nie pięć, tylko cztery godziny, żadnych mocnych wrażeń. Dostaliśmy jakieś krótkie opowiadanie, *Kurzgeschichte*, które trzeba było z marszu zinterpretować – czyli bagatela. Z egzaminów ustnych zapamiętałam jedynie ten z filozofii, na którym to szacowna, trzyosobowa komisja zadała mi pytanie, co by to było, gdyby okazało się, że nasza rzeczywistość jest tylko snem. Odpowiedziałam, że nic, że co to za różnica. Jeśli nawet żyjemy we śnie, w naszym życiu nic to nie zmienia. Pano- wie egzaminatorzy spojrzeli na siebie nawzajem z satysfakcją i wypuścili mnie z jedyneką, czyli z piątką do domu, to znaczy do obskurnego internatu. Wystarczyła jedna, ich zdaniem błyskotliwa odpowiedź i po ptokach, nikt mnie tam specjalnie nie maglował. Ale też niewiele wspomnień pozostało. Może tylko miłe uczucie, że tak od razu we mnie uwierzyli, że chyba sobie w tych „Niemcach” poradzę. Że jednak ta polska, socjalistyczna edukacja nie była taka najgorsza. I rzeczywiście miałam w Szczecinie szczęście do charyzmatycznych nauczycielek języka polskiego, pani Marii Buszac, pani Danuty Łuczak, a na pierwszym roku studiów polonistyki moim przewodnikiem stał się dr Krzysztof Wojciechowski, wykładowca psychologii. „W pani pisaniu jest duch”, powiedział kiedyś o moim wypracowaniu na temat różnic między behawioryzmem a psychoanalizą. Dał mi napęd na całe życie. Był pierwszym intelektualnym olśnieniem.

Po maturze polskiej pozostało oczywiście więcej wspomnień niż po tej niemieckiej, ta polska to był prawdziwy rytuał przejścia. W pamięci pozostały śmiechy przy nocnym kreśleniu wykresów w kształcie kalesonów, spaceru opóźniające moment rozpoczęcia nauki, zapach bzu, rozgorączkowane telefony. W ten sposób powstawały przyjaźnie na całe życie, takie przeżycia łączyły, podobnie jak wspólne narzekanie na nauczycieli. W pamięci pozostał oczywiście także Tomek. Kiedy tylko rozpoczynam zbyt wiele rzeczy naraz, nie kończąc żadnej z nich, kiedy nie wiem, co robić, co wybrać, i zaczynam w panice cha- otycznie rozwiązywać wszystkie problemy własne oraz świata na raz, wprowadzając coraz większy ba- łagan, przypominam sobie egzamin dojrzałości. I mądrość Tomkowej podpowiedzi.